

## JĘZYK POLSKI SUKCESOREM POŁABSKIEGO

Wobec tego, że prof. Stojanowski w nr. XII „Przeglądu Zachodniego” z 1946 roku zakwestionował moją ocenę jego broszury pt. „O reslawizację wschodnich Niemiec”, zabieram głos powtórnie.

Problem reslawizacji wschodnich Niemiec należy do grupy koncepcji zmierzających do usunięcia wzgl. przynajmniej jak najznaczniejszego osłabienia przyszłego niebezpieczeństwa niemieckiego. Z tego względu zasługuje oczywiście na należyte postawienie, które by można uznać za podstawę wyczerpującej dyskusji na ten temat.

Ale też właśnie dlatego na autorze broszury wysuwającej tak ważką koncepcję ciążył obowiązek przystępowania do zagadnienia przede wszystkim po gruntownym przemyśleniu przedmiotu. I to bez względu na zamiar naukowego czy też publicystycznego traktowania problemu. Recenzent, nawet gdyby traktował pracę prof. Stojanowskiego jako czysto publicystyczną, miał prawo zbadać, czy wysunięte przez autora koncepcje są dostatecznie ugruntowane i przemysłane. O żadnym zatem nieporozumieniu czy niezrozumieniu przez recenzenta istoty broszury nie może być mowy. Poza tym twierdzenie autora, że jego praca nie ma w swym założeniu charakteru naukowego, sprzeczne jest z zawartą we wstępie do broszury zapowiedzią, że „tym tomiem rozpoczyna „Komitet Słowiański” we Wrocławiu swoją działalność na polu naukowo-wydawniczym. Wrocław... predestynowany jest do tego, aby na miejscu... „Ostinstitutu” opracowującego naukowe (?) podstawy germańskiego „Drang nach Osten” powstał ośrodek naukowo-wydawniczy dokumentujący słowiański „ciąg” na zachód”. Z cytowanych zdań wynika chyba jasno, że czytelnikowi broszury sugerowano, iż otrzymuje do rąk

pracę opartą na fundamencie naukowym.

Twierdzenie autora, iż „w związku z ogólnym założeniem broszuryzymał się zdania, że lepsze jest wrogiem dobrego”, również nie usprawiedliwia zbyt powierzchownego podejścia do zagadnienia. Wynikające bowiem z tego błędy i nieścisłości, choćby nawet nie naruszały sedna problemu, nastawiają czytelnika nieufnie do całości i zmniejszają siłę przekonywającą argumentacji.

Co do obawy, że „kto wie, czy nie ukazała się ona (sc. praca) za późno”, to wydaje mi się, iż prof. Stojanowski przecenia wyniki, jakie mógłby osiągnąć, nawet gdyby broszura jego ukazała się znacznie wcześniej i wywarła głęboki wpływ na opinię publiczną. Koncepcje bowiem wysunięte przez autora odnoszą się do tych zagadnień polityki międzynarodowej, na które wpływ nasz — niestety — jest bardzo mały. Zasadnicze rozstrzygnięcia należą tu do wielkich mocarstw, a te nie zdradzały i nie zdradzają zamiaru dokonania tak dalece idącego okrojenia Niemiec. Kiedyś w przyszłości, kto wie, może problem reslawizacji wschodnich Niemiec stanie się aktualny, warto więc już dziś starać się, by nie zastało to nas nieprzygotowanymi. Zbyt ni pośpiech nie jest tu wskazany. Zagadnienia tego rodzaju trzeba wpieryw wszechstronnie poznać. Sądę, że np. autor po gruntowniejszym przemyśleniu zagadnienia przedstawiłby dokładniej, jak sobie wyobraża przebieg procesu reslawizacyjnego na podanych terenach. Naświetlenie bowiem w broszurze tego bądź co bądź skomplikowanego problemu jest niewystarczające.

Co do sprawy lużyckiej, to bynajmniej nie imputowałem autorowi ani konieczności wyczerpania literatury przedmiotu, ani powiększenia objętości broszury, ani też pomnożenia ilości szczegółów. Pisząc o zbyt słabym fun-



damencie pod gmach o monumentalnym zakroju miałem na myśli nie dość gruntowne ze strony autora przestudiowanie zagadnienia, jakie stawiał i chciał rozwiązać. Prof. Stojanowski w odpowiedzi na mą recenzję nie dowiódł bynajmniej, by było inaczej, a artykuł jego pt. „Łużyczanie pod względem antropologicznym“ („Śląsk“ nr 7 z września 1946) utwierdził mnie tylko w pierwotnym mniemaniu. W artykule tym bowiem prof. Stojanowski podaje również błędne dane<sup>1</sup>); może należy je uświadliwić niedostępnością źródeł? Bynajmniej. W połowie 1946 r. istniały już dostępne dla ogółu ściśle informacje w tym zakresie.

Żeby już skończyć z problemem łużyckim, zaznaczę, że kwestię języka, jaki należałoby wprowadzić w „reslawizowanym“ państwie łużyckim, rozstrzygnęło już w gruncie rzeczy samo życie (a nie mogłoby dopiero rozstrzygnąć, jak chce autor). Język górno-łużycki jest bowiem znacznie więcej wyrobiony od dolno-łużyckiego, bardziej rozpowszechniony<sup>2</sup>), lepiej odpowiada potrzebom skomplikowanego życia współczesnego, jest językiem nieźle rozwiniętego piśmiennictwa. On więc tylko mógłby się stać językiem reslawizacyjnym, z czego autor — sądząc z jego wywodów na str. 1058 „Przeglądu Zachodniego“ — niezupełnie zdaje sobie sprawę.

A teraz zagadnienie wskrzeszenia języka połabskiego. Również w tym wypadku raził mnie fakt, że koncepcja prof. Stojanowskiego nie jest dostatecznie ugruntowana. Autor oparł się pierwotnie tylko na nieścisłej informacji prof. Widajewicza; historyka, a nie językoznawcy. Dopiero ex post szukając kontrargumentów przeciw moim zarzutom, prof. Stojanowski zbadał sprawę dokładniej i wyraźnie postawił zagadnienie na innej płaszczyźnie. Z nowym jego stanowiskiem o tyle łatwiej się pogodzić, że stworzenie niemal całkowicie

sztucznego języka pseudo-połabskiego w oparciu o elementy połabskie, polskie, łużyckie itp. jest w zasadzie możliwe. Nasuwają się jednak w takim wypadku dwie poważne wątpliwości: 1. czy tego rodzaju twór, równie cudaczny i brzydki, jak np. pseudogotycki gmach dworca kolejowego czy też urząd pocztowego, będzie w ogóle zdolny do życia; 2. czy będzie on stanowił dobry instrument do celów reslawizacyjnych.

Pierwszą wątpliwość czynią na pozór nieistotną fakty wskrzeszenia języka irlandzkiego i belgijskiego oraz utrzymywanie się esperanta. Jednakże przykład irlandzki i belgijski są w tym wypadku bez znaczenia, bo pierwszy stanowi nawrót do języka żyjącego i tylko niedostosowanego do potrzeb życia współczesnego (w chwili gdy w 1843 r. zawiązała się Liga Gaelska, jeszcze 1/6 Irlandczyków posługiwała się swym językiem narodowym), drugi to powołanie do życia języka martwego, ale przechowanego w wystarczających ilościowo i jakościowo tekstach ciągłych. Pozostawałoby esperanto, twór sztuczny, skonstruowany w oparciu o elementy romańskie, tak jak język neopołabski byłby konstrukcją nową opartą o elementy zachodnio-słowiańskie, z wbudowaną niezbyt wielką liczbą elementów „autentycznych“ zamarłej połabszczyzny. Otóż esperanto utrzymało się wprawdzie (jako jedyny z wielu sztucznych „wszechświatowych“ języków), ale nie stało się bynajmniej narzędziem międzynarodowego porozumienia, o czym marzyli jego twórcy. Nie zanośi się też i obecnie na szersze rozpowszechnienie esperanta, pomimo że jest ono językiem łatwym do opanowania i najzupełniej odpowiadającym wymaganiom życia współczesnego. Bodaj najważniejszą przeszkodą jest tutaj okoliczność, że esperanto będąc tworem sztucznym, oderwanym od realnego gruntu, nie stanowi łącznika między



kulturą współczesnych i minionych pokoleń, co należy do najważniejszych funkcji języka w naszym życiu duchowym. Podobnie miałyby się sprawa i ze sztucznym językiem neopolańskim. Byłby on niewątpliwie trudniejszy od esperanta i — podobnie jak esperanto — nie nawiązywałby do żadnej tradycji kulturalnej (nie nawiązywałby do niej zresztą i „naturalny” język połabski, gdyby nam był lepiej znany, bo przecież Słowianie połabscy zostali pozbawieni możliwości wytworzenia własnej kultury — poza jej zaczątkami z epoki przedchrześcijańskiej). Członkowie narodu „neopolańskiego” wytrąceni z orbity kultury niemieckiej, z którą się bądź co bądź zrosili od szeregu pokoleń, stanęliby w obliczu sumy dotychczasowych wartości kulturalnych bez żadnej doróżnej kompensaty. Receltyzacyjny ruch w Irlandii miał przed sobą bez porównania łatwiejsze zadania, niżby przypadły ruchowi „neopolańskiemu”, a jednak pomimo kilkudziesięciu lat działalności wśród uświadomionego narodo-wo społeczeństwa, pomimo daleko idącego poparcia ze strony sfer rządowych i możliwości nawiązania do dawnej tak bogatej kultury celtyckiej, połowicznie tylko przeprowadził swoje postulaty, a dziś wielu jego przywódców wyraża wątpliwości, czy całkowita receltyzacja jest możliwa i celowa. Akcentują oni przy tym słusznie powołując się na przykład Belgii i Szwajcarii, że odrębność językowa nie jest ko-

niecznym warunkiem odrębności narodowej i kulturalnej.

Biorąc to wszystko pod uwagę należałoby się zastanowić, czy nie miał trochę racji wymieniony w broszurze prof. Stojanowskiego korespondent Instytutu Zachodnio-Słowiańskiego, który chciał się nauczyć języka polskiego jako najbliższego wymarłej mowie jego przodków. Język połabski i polski są przecież bardzo blisko spokrewnione i tworzyły ongiś wspólnotę pralechicką. Znałe nam wyrazy połabskie wykazują w 80% budowę słowotwórczą i znaczenie identyczne z wyrazami polskimi, pozostałych zaś 20% to przeważnie germanizmy. Czy więc polszczyzna — ewtl. z zabarwieniem dialektycznym połabskim (podobnie jak zabarwiony kaszubizmami jest język w Pontanowym przekładzie katechizmu Lutra dla Słowińców) — nie byłaby lepszym podkładem reslawizacyjnym, niż ów propagowany przez prof. Stojanowskiego pseudo-polański dziwotwór? Usuwałaby ona groźbę pustki kulturalnej, w którym nie stając na przeskodzie podkreśleniu odrębności narodowej Polabian, a to już jest bardzo dużo!

Pozostaje jeszcze do rozpatrzenia zarzut rzekomego ultrakrytycznego nastawienia recenzenta. Jeżeli ten zarzut ma dotyczyć uznania projektów prof. Stojanowskiego za utopijne w obecnej koniunkturze, to trudno by mi było sąd ten zlagodzić. Nie mogę natomiast przyznać się do ultrakrytycznego nastawienia do osoby autora. Zarzuty, jakie mu stawiałem, były bez wyjątku rzeczowe, a ton recenzji o wiele bardziej umiarkowany niż ton odpowiedzi prof. Stojanowskiego. Co więcej, z różnych względów pominąłem świadomie w recenzji największy minus broszury, spowodowany nie dość krytycznym stosunkiem autora do źródeł. Mam na myśli oparcie części wywodów i przywiązywanie dużej wagi do dokumentu stanowczo nieautentycznego, jakim jest



„Wendischer Bote“, pismo, którego zredagowanie i opublikowanie pozostaje w ścisłym związku z akcją pewnych grup Polskiej Podziemnej na terenie Warszawy<sup>3)</sup>.

W świetle powyższych wywodów, mój sąd — „że broszura prof. Stojanow-

skiego powinna była ukazać się w bardziej przemyślanej i dojrzałej formie, po uzgodnieniu zagadnień językoznawczych ze specjalistą“ — nie był chyba „ultrakrytyczny“.

Witold Kocharński

<sup>1)</sup> Na mapce dołączonej do artykułu Łużyce Górne i Dolne tworzą całość, gdy w rzeczywistości — wg polskich danych z 1945 r. — są to dwie wyspy; obszar Łużyc sami Łużycanie podają jako mniejszy o prawie 1.700 km<sup>2</sup>, niż podał autor, a rewindykować na rzecz własnego państwa chcieliby jeszcze mniej (6.242 km<sup>2</sup>); nie ma na Górnych Łużycach przewagi katolików itd.

<sup>2)</sup> Kilkanaście lat temu stosunek wynosił 7:4 przy czym tylko w trzech gminach małe dzieci mówiły po dolno-łużycku; język ten więc wykazywał tendencje do zaniku.

<sup>3)</sup> O tym, jak wielką wagę przypisywał prof. Stojanowski do „Wendischer Bote“, świadczy fakt, że podał w swej broszurze reprodukcję karty tytułowej pisma oraz zaczerpnął stamtąd mapkę, chociaż miał do dyspozycji doskonały szkic polski prof. T. Lehr-Splawińskiego. Są to jedyne ryciny w broszurze!